

Balik, Zenon

W syberyjskich tajgach żyć ... (8)

Przegląd Pruszkowski nr 3, 60-81

2003

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych mazowsze.hist.pl.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

W syberyjskich tajgach żyć...

(8)

*Dziesiąty luty będziemy pamiętali,
Przyszli sowieci, myśmy jeszcze spali,
I nasze dzieci na sanie włożyli,
Na główną stację wszystkich wywozili.*

PLANSZA ZWYCIĘSTWA

Od lata 1944 r., codziennie biegaliśmy pod kiosk z gazetami, nie tylko, żeby sprawdzać czy są gazety, ale tu - na rogu ulicy Lenina i Placu Defiad postawiono dużą planszę z mapą Europy, na której były przybijane czerwone kokardki tworzące zarys linii frontu. Codziennie przychodził jakiś mądry człowiek, który wiedział, gdzie należy umieścić kokardkę na danym odcinku frontu. Oczywiście, pomysł na tę planszę był teraz dozwolony, ponieważ nastąpiła ofensywa wojsk Czerwonej Armii.

Czasami kokardki zniknęły na kilka dni i znów się pokazywały, niektóre cofnięte do tyłu, ale na ogół posuwały się do przodu.

Dla nas była to bardzo ważna informacja, bo wierzyliśmy, że jak tylko Polska zostanie wyzwolona, to na pewno do niej powrócimy, chociaż nikt z władz Kraju Rad tego nam nie obiecywał. Nie zważając na głód i chłód codziennie biegaliśmy żeby sprawdzać, czy i o ile kokardki przesunęły się do przodu. Przyszła zima a kokardki wbite pod Warszawą stały w miejscu jak zaczarowane. Na innych odcinkach frontu posuwano kokardki a na obszarze Polski tylko na jej krańcach. W tym tkwiło całe nasze zmartwienie. W części planszy przedstawiającej teren Niemiec umieszczono kokardki koloru niebieskiego.

Tamte też się posuwały w głąb Niemiec, tylko jakby trochę wolniej, ale równomiernie.

Dopiero po 17 stycznia przestawiono kokardki czerwone na zachód od Warszawy i odtąd posuwały się do przodu prawie każdego dnia. Teraz ciężka zima ani głód nie mogły przygasić naszej radości i nadziei, jaka żyła w nas wszystkich. Wydawało się nam, że powinniśmy podążyć natychmiast w ślad za tymi kokardkami, a tymczasem tkwiliśmy na tym samym miejscu, na obczyźnie.

Atmosferę nadziei sami sobie stwarzaliśmy, pocieszając jeden drugiego. Każdy list z frontu, chociaż spóźniony w czasie o ponad dwa tygodnie, dodawał nam otuchy. Jeśli ktoś pisał, to było wiadomo, że niedawno jeszcze żył, natomiast przerwa w korespondencji budziła niepokój, bo nie wiedzieliśmy co się stało, a może to najgorsze? Na szczęście nasz ojciec ciągle pisał, regularnie. Pocieszał nas a my jego. I nie ważne, że listy były na pół czytelne i trudno zrozumiałe, po starannym wykreśleniu słów i niekiedy całych zdań przez cenzurę. Ważny był tylko dowód życia nadawcy. Strach ścisnął serce przed listem wysyłanym do rodzin poległych żołnierzy. W lutym dowiedzieliśmy się, że wujek Tarko nie żyje: zginął pod Warszawą. Później Aniela Krzywoń, Janek Kania. Pod Berlinem zginął wujek Grochowski - ojciec Bońka. Przeżywaliśmy tę śmierć razem z Bońkiem, w wielkim żalu. Boniek, jak się dowiedział o śmierci ojca, wybiegł z domu. Nie mogliśmy go znaleźć. Chciał się gdzieś wyplakać w ukryciu. Później przyszedł.

Z napięciem śledziliśmy walki pod Berlinem i wreszcie wiadomość o kapitulacji! Radość i płacz mieszały się razem, jakby neutralizując się nawzajem. Jednak niepokój, co będzie z nami i czy aby ojciec wyżył do końca, pozostały. Możliwe, że były rakiety na wiwat w Moskwie, Leningradzie i w Krasnojarsku, może nawet nie takie wspaniałe jak na filmach, jednak były. W Kansku rakiet nie było i pomimo ogólnej radości, wiele ludzi pozostało nadal pogrążonych w smutku. Chyba inaczej cieszą się ludzie szczęśliwi i syci a inaczej nieszczęśliwi i głodni. Spontaniczna radość tych drugich objawia się łzami. Radość łączy wyciska tak jak nieszczęście. Tak samo zaciska gardło, tylko samotności nie znosi, chce być dzielona z innymi. I tak też było. Dzieliliśmy się radością ze wszystkimi bliskimi. Po kilku tygodniach wiedzieliśmy, że nasz ojciec i wielu innych przeżyli tę wojnę. Byliśmy spokojni o los ojca, tylko nasz własny był wciąż niepewny.

Potem przyszły dni powszednie, obowiązki codzienne i harówka codzienna. Tylko każdy był czujniejszy. Bardziej spragniony wiadomości o możliwości powrotu do ojczyzny. Trzeba się było przygotować na taką ewentualność. Teraz trzeba było nam się pozbierać, żeby się nie pogubić. Todzia była daleko od nas, więc mama postanowiła ściągnąć ją od pani Stanisławy, żeby była razem z nami w Kansku.

ZAMOCHOWOJE

Wczesną wiosną 1945 r. pani Stanisława była w Kansku i u władz szkolnych załatwiła sobie przeniesienie jej do sąsiedniej wsi, gdzie miała pracować również w szkole jako nauczycielka. Daty przeprowadzki nie pamiętam, ale jedno wiem na pewno, że kiedy wojna się skończyła, to pani Stanisława wraz z Todzią były już na nowym miejscu. Nazwę tej wsi za-

pomniałem więc nazwę ją Zamochowoje, jako że znajduje się ona przy tym samym trakcie tylko dalej, jakie 4 do 5 km. za wsią Mochowoje. Todzia zdecydowała, że pozostanie z panią Stanisławą więc ostatecznie rozstrzygnęła ostry spór o samą siebie, bo obydwie panie chciały ją mieć przy sobie. Kiedy dowiedzieliśmy się o ich przeprowadzce, to zaraz zrodziła się we mnie myśl, żeby odwiedzić Todzię w nowym miejscu. Matka też była temu bardzo przychylna, bo ciągle się o córkę niepokoiła. Wyprawa do Zamochowoje jednak z różnych powodów odwlekała się, ale kiedy już wojna się skończyła, drogi obeschły, zrobiło się ciepło, przyszła wreszcie pora na sfinalizowanie mojego pomysłu.

Namówiłem do tej podróży Bońka. Zaplanowaliśmy przebyć drogę pieszo. Myślę, że z Kanska do Zamochowoje było około 35 km.

Wiele musieliśmy przedtem przemyśleć. Drogę znałem dobrze, bo dwa razy byłem w Mochowoje a stamtąd znałem kierunek drogi. Baliśmy się tylko wilków. Żadne inne niebezpieczeństwa nie przychodziły nam do głowy. Na wypadek spotkania wilków przygotowaliśmy sobie pochodnie. Były to kije długości laski, których końce owinęliśmy szmatami. Prócz tego Boniek miał w kieszeni ćwiartkę nafty i zapalniczki do podpalenia. Słyszeliśmy, że wilki boją się wystrzału i ognia. Nie wiem, na ile byłaby skuteczna taka pochodnia, ale nie czuliśmy się bezbronni. Myślę, że wyruszyliśmy w połowie maja. Śniegu już nie było, pogoda ładna. Szliśmy lekko ubrani i boso. Matka dała nam po kawałku chleba i upominała, żebyśmy go zjedli dopiero koło południa.

Wyszliśmy zaraz po wczesnym śniadaniu. Każdy z nas swoją kromkę chleba trzymał w kieszeni - na początku źle nam się szło, bo każdy myślał o tym chlebie. Jak pamiętam, to na Sybirze zawsze najbardziej chciało mi się jeść po jedzeniu. Bowiem prawie nigdy nie dojadłem, a to co się zjadło to tylko pobudzało apetyt. Ledwie wyszliśmy z miasta, jak tylko przeszliśmy most na rzece Kan, zauważyłem, że Boniek trzyma rękę w kieszeni i co chwila ukradkiem wkłada do ust po kawałku chleba. Na ten widok ja nie wytrzymuję i zjadam nie kryjąc się, swoją kromkę.

Po zjedzeniu chleba mogliśmy się skoncentrować na czym innym, a przecież było na czym. Na początku mijaliśmy miejsca znane nam z krótkich wypraw za miasto. Domostwa się skończyły, trakt wchodził w niezarosnięty step, z prawej strony widniały łagodne wzgórza. Na lewo równina a za nią hen daleko, widniały lasy. Step był falisty, w zagłębieniach tkwiły resztki zeszłorocznej trawy, lub roślin pustynnych, czasami mokradetko lub bagienko zaszczone wysuszoną solą. Rozglądaliśmy się w koło i prawie nic nie mówiąc, szliśmy żwawo. Czasami krzyczała na nas sroka lub wrona. Mijaliśmy całe kolonie susłów, które warowały w swoich norach przykucnięte na tylnych łapach, a kiedy podchodziliśmy bliżej, wyda-

wały okrzyki jakby szczeknięcie i pierzchały do nory. Susły żyły gromadnie wokół Kanska. Teraz nie obrzucaliśmy ich bryłami, odwrotnie, były nam bardzo miłe na tym pustkowiu i niczym nie zagrażały.

Tak szliśmy kilka godzin, nie spotykając żywej duszy. Przed nami rozciągała się jeszcze daleko równina, ale już na horyzoncie widać było wieś, przez którą trzeba było przejść, bo tak biegł trakt. Była to jedyna wioska, przez którą przechodziło się po drodze. W zasadzie większość domów tej wsi była zgrupowana przy drodze, ale w środku zabudowa rozszerzała się na boki., tak, że cała wioska tworzyła niekształtne skupisko. Szerokość wolnej przestrzeni między domami, przeznaczonej na trakt, wynosiła co najmniej 50 m. Doszliśmy do pierwszych domów. Zaczęliśmy odczuwać pewien niepokój, lęk przed ludźmi, których nigdzie nie było widać. Wieś była całkiem cicha, jakby wymarła, nie ryczały krowy, nie gęgały gęsi i nie szczekały psy. Chętnie obeszlibyśmy ją w koło ale teraz było za późno, trzeba było o tym wcześniej pomyśleć, bo tu były różne przeszkody, jakieś bagna i pola podmokłe, płoty odgradzające małe ogródki na tej bezkresnej przestrzeni i zarośla. Domy jak wszędzie, a nawet na przedmieściach Kanska, budowane z okrągłych nie ciosanych bali. Dachy dwuspadziste, kryte łupanymi deskami sosnowymi. Dachy takich domów są bardzo ponure, ciemno - szare zmurszałe deski wyglądają bardzo brzydko. Wszystkie chaty mają skromną liczbę małych okien. Część okien przy niektórych chatach zamknięte okiennicami, z powycinanymi w nich otworami o różnych kształtach, z serduszkami włącznie. Okiennice przeważnie o krawędziach ozdobnie powycinanych, albo rzeźbione na powierzchni.

Idziemy przez tę wieś, oglądamy się na lewo i na prawo, ale żywej duszy nie widać. Tu i ówdzie zauważyliśmy pojedyncze zwierzęta i gdzieś niedługo błakające się kury. Nigdzie nie widać młodzieży, dziatwy, która powinna być, bo dorośli wiadomo - mogą być w polu. Gdzie są dzieci? Czyżby ich tu nie było i my - obcy - możemy sobie tak przejść bezpiecznie? Nie do wiary, ale wszystko wskazywało, że tak właśnie jest, kiedy dochodziliśmy do ostatniego domu, który stał po prawej stronie. Strach młodych chłopców przed ludźmi kojarzy się tu z dziećmi, które chowają się w stadzie, bez opieki dorosłych. Są one groźne tak jak dzikie zwierzęta. Same boją się oddalić od domu, pójść na obcy teren, ale u siebie we wsi są groźni dla innych dzieci. Trudno sobie wyobrazić sytuację, żeby ruska młodzież nie zareagowała agresywnie na obcych rówieśników we własnej wsi. Zresztą młodzież polska z lat mojego dzieciństwa w niektórych wioskach reagowała podobnie. Ci, co się wychowali w zabitych wsiach, wiedzą o tym doskonale.

Przechodzimy tak w wielkim napięciu jeszcze parę metrów, rozglądając się, serca nam biją mocniej. Jeszcze jeden dom. Uda się! I nagle słyszemy, coś zawrzało jak w ulu, kilku chłopców wybiega zza ostatniego domu, widać w coś się bawili. Spozrzegają nas. Jest ich około trzydziestu w całej grupie, w różnym wieku. Widzimy, że starszych chłopaków w naszym wieku jest około pięciu. Byli zajęci jakąś grą na ziemi. Na nasz widok stanęli jak wryci. Zaciskamy kije, idziemy twardo ramię w ramię. Obserwujemy ich. Są jakby zaskoczeni. Stoją bez ruchu. Patrzą na nas. Wszyscy odziani w porwane kufajki, jednego rozmiaru jak wszędzie. Niektórym poły kufajek i rękawy sięgają prawie do ziemi. Są umorusani, o pomierzwionych długich włosach na głowie, niektórzy usmarkani. Na razie nie wiedzą, czy przechodzimy wieś, czy idziemy do nich. Kiedy minęliśmy ich o 30 kroków, otrząsnęli się z bezruchu. Wydając różne okrzyki, starsi wybiegają za nami i starają się zabiec nam drogę. Krzyczą i chwytają po drodze co popadło, kawałki drewna lub kamienie, ale muszą szukać ich a my mamy kieszenie napełnione dobranymi do rzutu kamieniami. Jednak najpierw ratujemy się ucieczką, żeby rozciągnąć tą hałastrę. Rzucają w nas, ale niecelnie. Kiedy odbiegliśmy ze 100 metrów cała wataha rzuciła się za nami. Nagle zatrzymujemy się i rzucamy w nich kamieniami. Nasze rzuty są celniejsze. Boniek trafia jednego w korpus, a ja drugiego w nogę. Trafiony w nogę podskakuje na jednej nodze ale nie wytrzymuje bólu i siada na ziemi. Jeszcze trochę odbiegliśmy, potem stajemy, jakbyśmy chcieli na nich zaczekać. Stchórzyli i zaraz stanęli w miejscu. Wolno odchodzimy, a oni zostają.

Chociaż biedni tak jak oni, ale jesteśmy odziani inaczej. Wyglądaliśmy przy nich jak książęta. W dodatku byliśmy odważniejsi.

Po tym szczęśliwym przejściu przez straszną wieś, wszystko co najgorsze mieliśmy za sobą. Poczuliśmy się bezpieczni i po odejściu jeszcze około kilometra, odpoczęliśmy w przydrożnych krzakach. Było już południe. Teraz mogliśmy coś zjeść, ale, niestety, nic już nie mieliśmy. Posiedzieliśmy trochę i poszliśmy dalej. Rozglądaliśmy się za jakimś strumykiem, bo nam się chciało pić, ale na razie nic nie było.

Z prawej strony na zboczu górzystym, mniej więcej kilometr przed nami, było widoczne Mochowoje. Pod tą górą był strumyk, który znałem wcześniej, ale nie chcieliśmy zbaczać z drogi i szliśmy dalej.

Po dobrej godzinie dochodziliśmy do Zamochowoje. Ze względu na porę dnia w Zamochowoje było już widać ludzi krzątających się w swoich zagrodach. Na ławce przed jednym domem siedziało kilku wyrostków z dziewczynami. Jeden brzdąkał na bałajce a inni mu przyśpiewywali. Zobaczyli nas i ucichli. My jednak szliśmy prosto do nich. Kije ukryliśmy w oznaczonym miejscu przed wejściem do wsi. Tu mogliśmy się przedsta-

wić jako przyjaciele. Podeszliśmy do zebranej młodzieży i zapytaliśmy, gdzie jest szkoła. Chętnie nam powiedzieli. Kilku z nich było schludnie odzianych. Jeden zapytał do kogo idziemy. Odpowiedzieliśmy, że do nowej nauczycielki i do mojej siostry Tani.

„- *Aaa! Znajem! Tania, krasiwaja dziewczuszka, ana dażna zdieś być, nu sztota nie priszła*”.

Była więc umówiona z nimi na tańce ale nie przyszła, mają jednak nadzieję, że jeszcze przyjdzie. Chętnie pójdą z nami i drogę pokażą, a jak Tania wyjdzie, to chociaż ją zobaczą. Skorzystaliśmy z ich uprzejmości. Tania jednak, uszczęśliwiona naszym widokiem, przeprosiła młodzież, że dzisiaj na tańce nie pójdzie. Cieszyliśmy się sobą. Pani Stanisława wypytwała nas, jak nam się udała podróż.

Todzia wydoiła krowę. Wypiliśmy po kubku mleka i zjedliśmy po dużej kromce swojskiego chleba. Todzia piekła bardzo smaczny chleb, z pszennej razowej mąki, z dodatkiem ziemniaków. Byliśmy radzi i bardzo szczęśliwi. Wiadomość o zakończeniu działań wojennych dotarła tu również szybko. Wieśniaczki czekały na powrót swoich mężów i synów, mając nadzieję, że może wrócą też ci, którzy zaginęli w zawierusze wojennej i od dawna nie przesyłali żadnych wiadomości. Czekały nawet te, które wcześniej otrzymały listy zawiadamiające o śmierci na froncie, bowiem i takie przypadki się zdarzały. Mieliśmy tu pobycć kilka dni. Todzia była chętna wracać z nami, ale pani Stanisława uprosiła ją, żeby została jeszcze tydzień, to pojedą do Kanska razem, bo pani Stanisława miała sprawę w mieście i też chciała się dowiedzieć w kole polonii, czegoś na temat ewentualnego powrotu do Polski, ponieważ i ona była tym zainteresowana. Tak się też stało.

My mieliśmy wracać jakąś podwodą, która niedługo miała jechać do miasta, a Todzia później z panią Stanisławą.

Przez te kilka dni nie mieliśmy tu nic ważnego do roboty. Wychodziliśmy za wieś wałęsając się po sąsiadujących polach i po zagajnikach. Zdążyliśmy nawet trochę nabroić. W tym czasie soki brzoź były już zamienione w słodki miąższ, pod samą korą. Pamiętam jak wdrapaliśmy się na wielką brzozę, która rosła na skraju małego lasu, przy polach kołchozowych. Stąd mieliśmy dobry punkt obserwacyjny na okolicę. Widać było całą wieś i już rozpoczęte prace polowe. Nacinaliśmy korę brzozową na większych konarach, które po tym łatwo dawała się skalpować. Następnie za pomocą noży strugaliśmy z oskalpowanej powierzchni konara biały miąższ i od razu go zjadaliśmy. Oczywiście oskalpowane gałęzie brzozy później musiały uschnąć, ale tam tego nikt nie brał pod uwagę. Brzozę uważano tam za chwast leśny i przeważnie używano na opał. Na koniec pod tą brzozą rozpaliliśmy duże ognisko. Kiedy odeszliśmy, żeby

pozierać suchego chrustu na ognisko, zajęła się wyschnięta trawa. Na początku zaczęliśmy deptać rozprzestrzeniający się ogień, ale nie mogliśmy go opanować i ogień rozprzestrzenił się dalej. Widząc, że sobie nie poradzimy, po prostu zwaliśmy do wsi. Na szczęście ogień nie mógł się rozprzestrzenić na dużą skalę, bo trawa była bez ściółki na cyplu między polami, a z przeciwnej strony było mokre bagienko.

Wróciliśmy do wsi. Todzi nie było w domu. Jedna z miejscowych koleżanek na wiadomość że Todzia wkrótce odjedzie, postanowiła zaprosić ją do siebie i zdradzić jej swoją tajemnicę. W tajemnicy przed rodzicami i tutejszą społecznością, pokazała jej swoje dobra, jakie pozostawiła po sobie jej babka. Otworzyła duży kufer pełen pięknych sukien, kolorowych chust, futer, koralików i innych cennych rzeczy, których pokazanie innym było bardzo niebezpieczne, nie tylko dla niej, ale również dla całej rodziny. Takie bogactwo mogło rozgniewać miejscową społeczność, a już na pewno rozsierdziłoby władzę. Były to dobra ukrywane od czasów rewolucji. Ujawnienie ich byłoby wystarczającym dowodem do oskarżenia o bogactwo lub kułactwo i stanowiłoby powód do represjonowania całej rodziny. Sąsiedzi może wiedzieli coś o jej przodkach i mogli się spodziewać, że istnieją jeszcze resztki dawnej świetności, ale jeżeli nikt się nimi nie chwalił uchodziło mu to bezkarnie. Działała zasada: czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal. Rosjanka zdobyła się na pokazanie swego skarbu Todzi, bo wiedziała, że jest Polką i w dodatku niedługo odjeżdża, więc z jej tajemnicy nie zrobi użytku, o co już wcześniej ją prosiła. Do Kanska wróciliśmy okazyjną ciężarówką.

WIADOMOŚĆ O POWROCIE DO POLSKI

Byliśmy zajęci pracą, czas szybko leciał, nadchodziły nieoficjalne wiadomości, że niedługo będziemy wracać do Polski. Władze były bardzo wstrzemięźliwe w wypowiedziach na ten temat z wiadomych względów. Ludność miejscowa nie miała prawa do takich nowin.

Wreszcie w ostatnich dniach marca 1946 r. przysłała do naszej delegatury wiadomość ze Związku Patriotów Polskich, że za dwa tygodnie do Kanska będzie podstawiony pociąg, do którego powinna się zmieścić większość Polaków przebywających w mieście Kansk i okolicy, pragnących wrócić do kraju.

Zapanowała nieopisana radość. Nie wiadomo było, jak do tego się przygotować. Matki nasze biegały jedna do drugiej, by dzielić się informacjami. Składaliśmy wymówienia w miejscach pracy. Pracowałem w fabryce papierosów. Miałem więc możliwość gromadzenia pewnej ich ilości dla ojca. Mój oficjalny deputat dzienny wynosił 10 sztuk papierosów. Ale pracując bezpośrednio przy ich produkcji, wynosiłem dodatkowe 10 sztuk w czasie przerwy na posiłek, bo mieszkałem niecałe 200 metrów od fabryki.

Po pracy otrzymywałem następną, oficjalną dziesiątkę. Bałem się wpadki, szczególnie w ostatnich dniach pracy i przestałem uzupełniać moje zapasy, tym bardziej, że w portierni niemal co dzień urządzano rewizję wychodzącym z fabryki. Ostatni dzień mojej pracy wypadł 3 kwietnia 1946 roku. Mój zapas wynosił trochę więcej niż 200 sztuk papierosów przeznaczonych dla ojca.

Następnego dnia fasowaliśmy przydział chleba na drogę, na 10 dni w ilości według przydziału na kartki, co wyniosło na naszą siedmioosobową rodzinę 33 kilogramy razowego, wilgotnego, czarnego chleba. Do tego mama kupiła na bazarze 25 kilogramów ziemniaków i to stanowiło zapas jedzenia na czas podróży do Polski. Jak się później okazało, podróż ta trwała nie 10 lecz co najmniej 20 dni. Ale to już inna sprawa.

Pociąg został podstawiony zgodnie z planem, czyli dziesiątego, a najpóźniej dwunastego kwietnia. Mama pożyczyła od sąsiadki dwukólkę (tak zwaną „tieleżkę”), którą zwoziliśmy nasze rzeczy, kursując kilkakrotnie między domem a dworcem kolejowym oddalonym od naszego domu o niecały kilometr. Raz ja, a innym razem Boniek, zostawaliśmy na stacji pilnując przywiezionego dobytku. Nie było tego wiele. Trochę ubrania w kuferkach, pościel w tobołkach i żywność. Żegnaliśmy się w pośpiechu z sąsiadami z naszego domu, a przede wszystkim z „ciocią” Wierą, która aż rozplakała się z żalu, że odjeżdżamy a ona - sybiraczka - zostaje tu, bo nie ma dokąd wyjechać.

Po południu podstawiono pociąg. Sporządzono listy osób przydzielonych do poszczególnych wagonów. Dzięki naszym usilnym staraniom zostaliśmy ulokowani w tym samym wagonie co nasi przyjaciele: Calikowie, Tarkowie i inni. Teraz byliśmy traktowani trochę lepiej niż zwierzęta i trochę gorzej niż ludzie. W dwuosiowym wagonie towarowym nie umieszczano więcej jak 40 osób. Zupełne przeciwieństwo do warunków, w jaki byliśmy wywożeni na Sybir, kiedy w wagonie jechało 54 osoby. W dodatku teraz wagony nie były zamykane. Można było rozsunąć drzwi zabezpieczone balustradką na wysokość metra i wyglądać przez nie na jedną lub drugą stronę.

Było jeszcze dość zimno. W nocy chwytał spory mróz, ale dniem świeciło słońce. Wagon nie był ogrzewany, ale przy takim skupisku ludzi mniej odczuwało się chłód. W nocy spaliśmy skuleni pod pierzynami na pryczach, a większość dni upływała nam na staniu w drzwiach wagonu lub siedzeniu na pościeliach.

Pociąg jechał najczęściej przez całą noc, a w dzień robił sobie co najmniej dwa postoje po dwie godziny lub dłużej. Na każdym postoju kierownik pociągu podawał czas przerwy albo godzinę odjazdu. Każdy więc mógł wysiąść z pociągu za potrzebą, albo po wodę, którą braliśmy gdzie

się dało, najczęściej tam, gdzie parowozy zaopatrywały się w wodę. Jedliśmy przydzielony chleb, którego z dnia na dzień ubywało. Czasami rozpałało się ognisko blisko torów, upichciło się zupełną ziemniaczaną albo ugotowało ziemniaki. Dzieci i młodzież w moim wieku nie miała paszportów, dlatego nie wolno nam było oddalać się, bo wokół stacji milicjanci zatrzymywali każdego kto nie posiadał dokumentów i przetrzymywali do wyjaśnienia.

W czasie dłuższych postojów dzieciarnia, znużona długą podróżą, biegła po torach. Kiedyś bawili się pozostawioną na ślepym torze drezyną, co skończyło się tragicznie, gdyż jeden z chłopców chcąc zatrzymać pojazd, podstawił nogę pod koło, które zmiażdżyło mu stopę. Zdarzały się także mniej groźne wypadki, jak złamanie nogi czy ręki, zwichnięcia i stłuczenia, ale nie było na szczęście wypadków śmiertelnych.

Za Uralem było już ciepłej. Pod koniec kwietnia śniegi stopniały i zazieleniły się łąki. Czasami przysiadł się do naszego wagonu żołnierz wracający z urlopu albo jadący na urlop do rodziny i opowiadał o swoich przeżyciach na wojnie. Kiedyś przysiadł się żołnierz z bronią, który spostrzegł na łące bociana i wygarnął do niego serię z pepeszy. Na szczęście nie trafił i ptak odleciał.

Innym razem przysiadł się do naszego wagonu nieznamy mężczyzna przyzwoicie ubrany, ale mało rozmowny. Mówił, że został z innego pociągu. Przed granicą polsko - sowiecką przyszła milicja. Sprawdzali dokumenty. Tego tajemniczego pasażera wzięli na bok i odeszli z nim. Nie dowiemy się nigdy, czy go aresztowali, czy był to po prostu tajniak.

GORZKIE BUŁKI

Trzeciego maja przed świtem pociąg manewrował na bocznicę kolejowej. Jego szarpanie i przetaczanie w obydwie strony nie przeszkadzało nam w twardym śnie, to już dla nas było normalne. Ponad 20 dni jazdy na twardej pryczy znieczuliło nas na szarpanie i dudnienie wagonu. Kiedy pociąg się zatrzymał następowała zwykle cisza, ale tym razem dolatywały nas zaskakujące odgłosy. Przez ponad dwadzieścia poranków nic takiego się nie zdarzało. Słyszeć było coraz wyraźniej:

- „Białe bułki! Białe bułki!... Komu białe bułki?”

Dorośli obudzili się jak zwykle pierwsi. Ci, którzy spali na górnej pryczy, zobaczyli, że dnieje, więc wyjrzeli przez górne okienko wagonu towarowego. Wołanie „białe bułki” zabrzmiało koło naszego wagonu.

- Polska! Jesteśmy w Polsce - zawołał ktoś ze współpasażerów. Na to wołanie obudziłem się, a wraz ze mną wszystkie dzieci w naszym wagonie, nawet te najmłodsze. Boże drogi! Dożyliśmy chwili, że są nieopodal białe bułki, choć to wydaje się prawie niewiarygodne. Może coś innego

nie wzbudziłoby takiej emocji, ale na białe bułki poderwała się cała dzieciarnia.

Powstało wielkie ożywienie i prawie natychmiastowe rozczarowanie, bo się okazało, że białe bułki są za pieniądze i to w dodatku za polskie pieniądze. Myślę, że u wszystkich naraz zrodziło się pytanie: Jak zdobyć polskie pieniądze? Nie mamy polskich pieniędzy a i ruble już dawno się nam skończyły. Powstał lament, bo wszystkie dzieci chcą białych bułek a ich matki nie mają pieniędzy. Potrzebowaliśmy dużo pieniędzy. Jedna bułka, jak dobrze pamiętam, kosztowała 5 zł krakowskich.

- Panie! Co to za stacja? - pyta moja mama mężczyznę obładowanego dwoma koszami białych bułek.

- Biała Podlaska - pada odpowiedź.

- Zenuś!, ty masz jakieś drobne polskie pieniądze, pokaż ile ich masz?
- mama zwróciła się do mnie.

Ja rzeczywiście miałem trochę monet wymachlowanych, lub podarowanych mi przez radzieckich żołnierzy frontowych, którzy po rozgromieniu hitlerowskich Niemiec, prosto z zachodniego frontu jechali przez Syberię przed sierpniem 1946 r. na zamierzoną wojnę z Japonią. W świetle otwartych drzwi wagonu wyciągnąłem swoją skrzyneczkę i liczę moje pieniądze, tak mozolnie zbierane. Dużo tego jest, ale w drobnym bilonie, naliczyłem ponad trzy złote. Nawet na jedną bułkę nie starcza.

- Zenuś, a papierosy, które masz, może ci panowie kupią? - mama zwraca się do mnie i jednocześnie do kilku miejscowych rodaków stojących na peronie.

- Mamo, przecież te papierosy trzymam specjalnie dla naszego tatuśka, które chciałem mu podarować w prezencie z Sybiru! - odpowiadam mamie, ale ona jakby nie słyszy i pyta dalej.

- Ile masz tych papierosów?

- Sto sztuk - odpowiadam mamie.

Podeszli panowie i oglądają moje papierosy. Gatunek „Kazbiek” jest im nie znany. Mama pyta ile dadzą za moje papierosy, a mnie się serce kraje na myśl, że mam się pozbyć tych papierosów, którymi chciałem uraczyć mojego tatę przy pierwszym spotkaniu. Panowie mówią, że te papierosy nie są nic warte, ale mogą za nie zapłacić 30 zł. Mama się zgodziła i kupiła za nie dwie bułki paryskie i dwie bułeczki murarki. Jak się później przekonałem, to ci pierwsi napotkani rodacy na peronie okazali się zwykłymi oszustami, bo moje papierosy były warte więcej. W ten sposób poznałem gorzki smak pierwszych polskich białych bułek. Myślę jednak, że dobrze nam posłużyły na nasze wygłodzone żołądki. Były świeżutkie i delikatne jak pianka. Do dziś pamiętam ich smak.

Wszystko to było o wiele za mało na nasze potrzeby. Pociąg poszedł tu kilka godzin i ruszył w dalszą podróż. Zatrzymał się na stacji w Łukowie i tu spotkała nas miła niespodzianka. Przy stacji w baraku była zorganizowana dla nas pomoc żywnościowa. Wywoływano z każdego wagonu po jednej osobie z każdej rodziny po fasowaną żywność. Poszedłem tam z mamą na przyczepkę. Z tego, co pamiętam, wydawali tam na „słowo honoru” chleb i słoninę, według podanej liczby osób w rodzinie. Nie pamiętam ile dali nam chleba, ale słoniny sporo, bo sam ją trzymałem pod pachą. Było tego połowa świńskiego boku. Nie wiem czy przedtem widziałem taką wielką poćć słoniny, bo na Sybirze na pewno nie.

Niosę słoninę a mama chleb i jeszcze coś, a tu ktoś krzyczy, że w Łukowie formują jeden wagon do Warszawy. Ktoś krzyczy:

- Kto ma jechać do Warszawy niech się przesiada jak najszybciej, bo cały skład pociągu za pół godziny odjeżdża.

Mama wpadła w popłoch, bo rzeczywiście cały czas jechaliśmy do Polski i chociaż ojciec nam przypominał w listach, że gdy będziemy w Polsce, a będzie jakaś okazja, to byśmy się kierowali do Warszawy. Następnie kolejką belwederską niech ktoś zajedzie do Chyliczek i powiadomi go o naszym przyjeździe, już stamtąd nie daleko do wsi Julianów. Naszą ziemię na Podolu zagarnął ZSRR, więc nie wracaliśmy na swoje, tylko na razie do Polski i tylko my z całej naszej grupy mieliśmy za zadanie kierować się do Warszawy. Cały skład pociągu, według informacji pochodzącej od organizatorów przewozu, jechał prosto na ziemie zachodnie, jak mówiono „na Ziemię Odzyskane”. Tam już niektórzy żołnierze spośród znanych nam rodzin polskich z Kanska, otrzymali już przydziały na gospodarstwa rolne. Tam też miały otrzymać przydziały na gospodarstwa te rodziny, których ojcowie zginęli na wojnie.

Tymczasem nasz ojciec, zaraz po zdemobilizowaniu, wyruszył w okolicę Warszawy, bo w drodze na Zachód chciał odwiedzić swojego brata Andrzeja, który jeszcze pełnił służbę wojskową w Leśnowoli pod Warszawą, tam dowiedział się, że pod Warszawą są porzucone gospodarstwa rolne po niemieckich kolonistach sprzed pierwszej wojny światowej. Niektóre są jeszcze wolne i mogą być przydzielone zdemobilizowanym żołnierzom Wojska Polskiego, którzy za Bugiem utracili swoje gospodarstwa rolne. Ojcu to odpowiadało. Udał się do Gminy Nowa Iwiczna i otrzymał zabudowane gospodarstwo rolne, po koloniście Edwardzie Szajerze, we wsi Julianów koło Piaseczna. Kiedy po przyjeździe do Łukowa dowiedzieliśmy się, że musimy szybko wysiadać z naszego wagonu, popadliśmy w panikę. Dotąd myśleliśmy, że cały nasz pociąg będzie jechał przez Warszawę i tam spokojnie wysiadzimy. Okazało się, że nasz pociąg pojedzie przez Radom, więc tu musimy wysiadać. Biegniemy do naszego wagonu.

Mówimy o tym naszym przyjaciółom i w pośpiechu wyrzucamy nasze rzeczy z wagonu. Mama pyta Bońka, czy chce być z nami? Tak, Boniek się decyduje na przesiadkę z nami, tym bardziej, że jest dopisany na karcie powrotu naszej rodziny, a innych dokumentów nie ma. Na razie chce być z nami. W pośpiechu przenosimy nasze rzeczy do samotnego wagonu na bocznym torze. Z całego pociągu, wiozącego 200 do 300 rodzin, przyszło się przesiąść do Warszawy tylko nam i Żydom, których było niewiele. Byli pośród nich tacy, którzy znali Warszawę sprzed wojny. My nie.

Główny pociąg odjeżdża. Odjeżdżający ludzie śpiewali i cieszyli się. Machaliśmy im rękami, dopóki cały skład pociągu nie minął naszego osamotnionego wagonu. W naszym dwuosiowym wagonie było nas ponad 50 osób, ale nikt sobie nie krzywdował, bo bywało ciasniej, a dla nas zbliżał się kres podróży. W nowym towarzystwie poczuliśmy się trochę obco. Pożegnaliśmy swoich przyjaciół, którzy zawsze byli z nami. Nawet Sybir nas nie rozłączył. Teraz opuściliśmy ich z własnego wyboru, żeby dołączyć do ojca, który o zawierusze wojennej znalazł się pod Warszawą. Tak nam było pilno do niego, że porzuciliśmy wszystkich naszych przyjaciół. Pośród żydowskich rodzin bieda była wcale nie mniejsza jak u nas. Dużo było ludzi starych, bezradnych i nawet obłąkanych. Jedna staruszka miała obsesję na tle nocnika, nie rozstawała się z nim i bez przerwy o nim coś mówiła. Wśród rodzin żydowskich nie było małych dzieci, jedynie trochę starszej młodzieży. Za to nasza rodzina była rojna.

Uspakajamy się po jakimś czasie. Jemy chleb ze słoniną czekając kilka godzin na odjazd. Ruszyliśmy późnym południem. Jest piękna pogoda, wszystko kwitnie jak w bajce. Oglądamy to z jadącego wagonu przez rozsunięte na obie strony drzwi. Młodszy siedzą na progu, ze zwisającymi nogami. W drodze na Sybir cały czas drzwi musiały być zaryglowane z zewnątrz i okienka zakratowane. Tak władze radzieckie dbały o nasze zdrowie, a teraz już im nie zależało na naszym zdrowiu, bo od samego Kanska mogliśmy otwierać drzwi wagonu, według naszej zachcianki, zarówno na postoju jak i w ruchu. Niepotrzebnie widać zjadaliśmy im chleb, którego nigdy za wiele nie mieli. Powiedzieli nam: „Czort z wami” i teraz jedziemy zobaczyć, czy tu nas zechcą. Mijamy wsie i miasteczka, kilka postojów po drodze. Wszystko jest ciekawe i nieznanne.

Dojeżdżamy do Warszawy. Widać dużo gruzów. Przejeżdżamy Wisłę przez most drewniany, kolejowy. Pociąg jedzie wolniutko, skrzypią belki pod kołami wagonu. Ogromna wysokość dzieli nas od lustra wody. Żeby tylko belki wytrzymały. Wszyscy zamilkli na ten czas. Przejechaliśmy! Teraz widzimy w oddali prawie same gruzy. Żydzi się zastanawiają, w której dzielnicy Warszawy jesteśmy, nie mogą rozpoznać miasta. Jedziemy trochę po powierzchni, ale więcej w tunelu, skąd nic nie widać. Nagle ukazu-

je się wypalony, nikomu nie znany okrągły szkielet konstrukcji stalowej, olbrzymi i ponury. Teraz wiem, że to był któryś ze zbiorników gazowych na Woli. Pociąg stanął. Odczepiono nasz wagon. Inne wagony odjechały, a nasz został. Podjechała lokomotywa, zaczepiła nasz wagon i gdzieś nas wiezie. Przetacza tam i z powrotem. Zrobił się wieczór, wszędzie pustki a w oddali same gruzy. Staliśmy na jakimś bocznym torze. Zrobiło się cicho i zasnęliśmy, ściśnięci na przycy jeden przy drugim.

WARSZAWSKI P.U.R.

(Państwowy Urząd Repatriacyjny)

Rano usłyszeliśmy kolejarzy którzy stukali w osie wagonu. Przeklinali, bo nie wiedzieli dokąd ten wagon jest przeznaczony. Odsuwali drzwi i zobaczyli nas.

- Ludzie, gdzie wy jedziecie? - pyta jeden z kolejarzy.

- My panie z Sybiru do Warszawy - odpowiada jakaś pani.

- Jesteście w Warszawie! Co z wami zrobić? - zastanawia się kolejarz.

Znów zostawiono nas na jakiś czas. Po kilku godzinach podjechała lokomotywa parowa i znów jeździmy w obydwie strony, aż dojechaliśmy do miejsca, gdzie odczepiono nasz wagon. Po przeciwnej stronie od torów stał duży barak PUR-u. Kolejarze proponują nam wysiadkę i przeniesienie rzeczy do baraku PUR-owskiego. Matka mówi, że my nie chcemy do PUR-u tylko do Julianowa koło Piaseczna i że tam się jedzie kolejką belwederską. Jeden z kolejarzy był dobrze zorientowany w okolicy, wyprawił nas na skarpe i pokazał kierunek do kolejki belwederskiej. Na horyzoncie widzieliśmy gruzy, tylko hen daleko widniała jedna z wież kościoła Zbawiciela (druga była zburzona do połowy).

- Idźcie prosto w kierunku tego kościoła. Po drodze będzie tramwaj nr 8. Potem kilkaset metrów w prawo do placu Unii Lubelskiej, a stamtąd już bliźutko do kolejki, można zapytać kogokolwiek.

Informacja dokładna dla wszystkich doskonale zrozumiała. Ustaliliśmy następujący plan działania: przeniesiemy nasze rzeczy do baraku PUR-u, a potem ja z Bořkiem idziemy do kolejki i jedziemy do Julianowa powiadomić tatę o naszym przyjeździe. W baraku PUR pełno ludzi, rozłokowane na podłodze całe rodziny. Śpieszymy się, przenosząc wszystko, co mieliśmy do jednego kąta baraku. Mama proponuje nam, żeby dzisiaj przy niedzieli nie jechać do taty, lecz nie chcę czekać. Zdejmujemy buty, bo są duże i niewygodne. Będziemy szli boso, jesteśmy przyzwyczajeni. Jest bardzo ciepło, piękne niedzielne popołudnie 5 maja 1946 r. Matka daje nam kartę powrotu, która ma być dla nas dokumentem, chowam ją za koszulę, na wszelki wypadek, gdyby się milicja nas czepiała, jak to bywało w wolnym kraju Rad.

Idziemy prosto na wieżę kościoła Zbawiciela, maszerujemy po bezdrożach, omijając gruzy i widzimy, że podjeżdża na pętlę tramwaj 8. Pomyśleliśmy, żeby podjechać tym tramwajem, tak jak mówił kolejarz. Konduktor obserwuje nas z daleka i kiedy podeszliśmy do drzwi tramwaju, mruknął złośliwie coś pod nosem, zaklął i zepchnął nas ze stopnia. Nie wiemy, o co mu chodzi. Nie pozwala - trudno, idziemy pieszo, tak jak zamierzaliśmy. Szło się nam bardzo dobrze, kiedy spostrzeżliśmy dwóch wyrostków idących w naszym kierunku. Zagadnęli nas z daleka łamanym rosyjskim językiem. Nie mogliśmy ich ominąć. Jeden z nich podskoczył do Bońka krzycząc, żeby oddał mu swój ozdobny pas. Boniek zaczął płakać z przerażenia, ale na szczęście drugi z młodzieńców wyperswadował swemu koledze, żeby zaniechał rabunku.

Do placu Zbawiciela idziemy lewym chodnikiem w kierunku Placu Unii Lubelskiej. Prawie wszyscy przechodnie oglądają się za nami, patrzą na nasze nogi, widocznie zdziwieni, że idziemy bosy. Przy placu pytamy kogoś o kolejkę i łatwo dochodzimy do dworca.

KOLEJKĄ PO OJCA

Idziemy prosto do stojących za parkanem wagonów kolejowych. Konduktor rozparty w furtce przy wejściu na peron zastawia nam drogę i żąda biletów. Mówimy, że nie mamy pieniędzy. Konduktor odpowiada, że gówno go to obchodzi.

- A gdybyśmy pojechali bez biletu? - zapytałem konduktora.

- To przyjdzie kontroler i wsadzi cię do ciupy. - odpowiedział konduktor.

Pokazał nam mały baraczek z boku peronu, gdzie możemy kupić bilet. Nie pamiętam ile kosztował bilet do Chyliczek. Miałem przy sobie trochę bilonu, pozostałego po zakupie białych bułek w Białej Podlaskiej, ale tego było za mało na bilet. Boniek sięgnął do swojej kieszeni i policzył swoje monety. W sumie mieliśmy trochę więcej jak na jeden bilet. Ponieważ Boniek miał więcej, to powiedziałem mu, żeby on jechał a ja wróć do baraku. Boniek jednak stwierdził, że do mojego ojca ja powinienem pojechać a nie on. Zmartwiłem się, bo bałem się, że nie trafi z powrotem na to samo miejsce. Boniek uspokoił Mnie, że trafi i żebym jechał spokojnie i nie martwił się o niego. Dałem mu kartę powrotu, którą teraz on wsadził za koszulę. Kupiliśmy jeden bilet i pożegnałem się z nim ze łzami w oczach. Z przykrością rozstaliśmy się. On poszedł pod górkę a ja w dół do wagonów. Poczułem się bardzo osamotniony pomiędzy Polakami. Nigdy tak się nie czułem między Rosjanami. Tam byliśmy w jakiś sposób im równi i mieliśmy wspólny język. Z Polakami w kraju nie można było się łatwo dogadać.

Oni po prostu nas nie rozumieli, byli wobec nas nieufni i lekceważący. Rażą ich nasza wymowa. Mówiliśmy gwarą podkrakowską, jak „Guloni” ze Słownik. Zwłaszcza warszawiacy są mało tolerancyjni dla obcych i mówiących innym akcentem, chyba, że jest to język angielski lub francuski - to co innego. Przykro mi było, chociaż czułem się teraz bezpieczny i pewny, że trafię do ojca ale nie miałem takiej pewności jeśli chodzi o Bońka. W stronę kolejki łatwo trafiliśmy bo była Wieża Kościoła Zbawiciela, a w kierunku powrotnym nie było nic charakterystycznego na horyzoncie.

Wsiadłem do wagonu. Ludzie gapili się na mnie, ale nikt na razie mnie nie zaczepiał. Dopiero w Klarysewie albo w Konstancynie zrobiło się pusto w wagonie, tylko nawskakiwało dużo cwaniaczków do wagonu. Jeden mnie dostrzegł i zaraz zrobił sensację.

- Chłopaki!, patrzcie, jakiś Rusek jedzie!

Obsiedli mnie w koło. Jeden mówi:

- Wywalimy go, co? Drugi odpowiada mu:

- Zaczekaj, najpierw pogadamy z nim. Zwraca się do mnie z pytaniem:

- Kto ty jesteś?

- Polak - odpowiadam.

Zaczęli się śmiać.

- A dokąd jedziesz? Odpowiadam:

- Do ojca.

- A skąd się tu wzięłeś?

- Z Sybiru.

- O, z Sybiru, to ciekawe!

Inny koleś zagwizdał na palcach i z sąsiedniego przedziału zbiegli się jeszcze inni.

- Popatrzcie, on jedzie z Sybiru!

Oglądali mnie teraz z sympatią i potem wyszli na pomost.

Wychylony z wagonu obserwowałem napisy na przystankach, żeby nie przejechać Chyliczek. Wsiadłem na peron po lewej stronie, gdzie stała piękna altanka poczekalni kolejowej, pomalowana na zielony kolor. Stał tam, oparty o balustradę pan w średnim wieku. Zapytałem go o drogę do Julianowa. Wyjął z ust papierosa i bardzo życzliwie pokazał mi drogę polną, która od stacji Chyliczki biegła do pierwszych domów Julianowa.

- A do kogo tam idziesz? - zapytał mnie.

- Do ojca, nazywa się Balik.

- A! To ja go dobrze znam. Widzisz czubki dwóch świerków na końcu wsi? Tam znajdziesz swego ojca.

Zaleciał mnie zapach kwitnących bzów, kiedy odchodziłem z przystanku.

Na skraju wsi, na środku drogi stała grupa chłopaków, moich rówieśników. Zbliżając się do nich usłyszałem ich rozmowę.

- Rusek idzie!

- E, przylejemy mu?

Zastąpili mi drogę, ale byłem spokojny, czułem się tutaj bezpieczny. Pozdrowiłem ich z daleka.

- Dokąd idziesz? - zagadnął mnie najwyższy z nich, ten który chciał sprawić mi lanie.

- Do Balika, to mój ojciec - odpowiedziałem.

- A, znam go! Wszyscy go znamy. Tam dalej zobaczysz biały dom pod czerwoną dachówką - objaśniali mnie życzliwie.

Doszedłem wreszcie do domu mojego ojca. Na podwórku zastałem sporo ludzi, ale nie było ojca między nimi.

- Dobry wieczór! - przywitałem się.

- Dobry wieczór! A ty czego tu szukasz? - zapytał ktoś.

- Tu mieszka mój ojciec... Nazywa się Balik.

- A, to jesteś pewnie jego synem? Zaczekaj, on tu zaraz przyjdzie, jest w ogródku.

I rzeczywiście, za chwilę przez furtkę, prowadzącą do ogródka wokół domu, wyszedł ojciec niosąc przed sobą miednicę wypełnioną flancami tytoniu. Stałem przy studni z ludźmi, których tu zastałem.

Jak się później okazało, byli to wysiedleńcy z Warszawy z Powstania. Ojciec zauważył mnie, ale chyba mnie nie poznał po trzech latach rozłąki. Od tego czasu na pewno się zmieniłem i sporo podrosłem. Ojciec szedł do studni prosto w moim kierunku. Zawołałem do niego:

- Tatuś!

Ojciec w milczeniu postawił miednicę na ziemi i wtedy ze świeczkami w oczach zaczęliśmy się ścisnąć na powitanie. Powiedziałem ojcu, jaka jest sytuacja rodziny. Pani Guzkowa i pani Zychowa, nie czekając na ojca, przygotowały zaraz dla mnie obfity posiłek. Wiedziały też, że jestem zmęczony i kazały mi się położyć do snu w pokoju, zajmowanym między innymi przez mojego ojca. Jeszcze ojciec wypytywał mnie o miejsce, gdzie pozostawiłem resztę rodziny, żeby sobie uzmysłowić mniej więcej gdzie należy ich szukać. Nie bardzo umiałem określić to miejsce, ale powiedziałem, że był to barak PUR-u, przy torach kolejowych i że stamtąd szliśmy z Bońkiem w kierunku wschodnim około jednej godziny, zanim doszliśmy do kościoła Zbawiciela. Usypiałem, kiedy ojciec z Józkiem zaczął się przygotowywać do wyjazdu w kierunku Warszawy, małą furką ciągniętą przez półślepego gniadego konika. Józek, to chłopak, którego ojciec przywoził

sobie do pomocy w gospodarstwie od rodziny spod Krakowa. Przed północą wyjechali do Warszawy. Rano miłe warszawianki podały mi śniadanie, po czym zaczęły mnie wypytywać o wszystko, że nie mogłem nadażyć z opowiadaniem. Potem rozchorowałem się na żołądek, bo nie byłem przyzwyczajony do obfitych posiłków.

GOSPODARSTWO

Cała wieś Julianów liczyła około 20 gospodarstw rolnych. W tym mniej więcej połowa kolonistów niemieckich. Trzeba przyznać, że gospodarstwa niemieckie były zamożniejsze. Mieli większe arealy, lepiej wyposażone i lepiej wykorzystywane.

Ci Niemcy, przed wojną byli Polakami niemieckiego pochodzenia. Kiedy przyszli hitlerowcy, niemal wszyscy podpisali volkslistę, bo nie przypuszczali, że Niemcy przegram wojnę. Byli też i tacy co tej listy nie podpisali, jak na przykład państwo Sthalowie z Józefostawia, ale za to przez cały czas okupacji niemieckiej byli represjonowani. Kiedy załamała się niemiecka ofensywa na froncie wschodnim, volksdojczce zaniepokoiłi się, a gdy wojska radzieckie zbliżyły się do Warszawy, w popłochu ładowali na fury wszystko co najcenniejsze i odjechali na zachód, razem z wojskami niemieckimi. Całe wyposażenie gospodarstw w sprzęt techniczny, zasiewy i budynki pozostawili na pastwę losu. W niektórych bogatszych gospodarstwach pozostali parobkowie, którzy na ogół byli Polakami. Na gospodarstwie po Edwardzie Sajerze latem 1944 r. pozostało dwóch parobków Polaków. Zebrali wszystkie plony, po czym je przepili i wyjechali. Na ich miejsce przyszli ludzie wygnani z Warszawy po Powstaniu. W Julianowie wysiedleńców było bardzo dużo, zwłaszcza na gospodarstwach poniemieckich. Gospodarstwo po Edwardzie Szajerze, które potem otrzymał mój ojciec, zapełnili wysiedleńcy. Był dom pięcioizbowy, strych i śpichlerz. Mieszkali w okropnych warunkach przez całą zimę 1944/1945 r. Męczyli się podobnie jak my na Sybirze. Na przykład mieszkańcy śpichlerza, nie przystosowanego do zamieszkania przez ludzi, mając niedostatek opału, po który bali się wychodzić do lasu, palili podłogę i deski sufitowe śpichlerza. Kiedy front przesunął się na zachód od Warszawy, wszyscy warszawiacy, którzy w Warszawie znaleźli jakikolwiek kątek do zamieszkania, natychmiast przenieśli się do Warszawy. W ten sposób latem 1946 r. w Julianowie na gospodarstwie po Szajerze został tylko pan Windyga z rodziną, państwo Zychowie ze swoimi córkami Zosią i Ireną oraz pani Guzkowa z siedmioletnim synem i z babcią. Podobnie było w innych gospodarstwach poniemieckich. Niektórzy z wysiedleńców starali się o przydział gospodarstwa poniemieckiego, jak na przykład pan Windyga, który chciał otrzymać gospodarkę po Edwardzie Szajerze. Państwo Zychowie i Guzkowie mieli domy zburzone, gdzieś na Siekierkach w Warszawie. Zostali w gospodarstwie

przy panu Windydze i korzystając z istniejącego tu zaplecza, zaczęli chować krowy i handlować mlekiem. Nosili mleko w bańkach do kolejki bełweder-skiej, i ze stacji w Chyliczkach wieźli je do Warszawy i tam roznosili po gospodarstwach. W ten sposób zarabiali na życie, a za zaoszczędzone pieniądze odbudowywali swój dom na Siekierkach. Pod koniec lata 1946 r., już w czasie naszej obecności, wyprowadzili się do swojego mieszkania, pozostawiając nam większą swobodę.

W okresie zimy 1945/1946, jeszcze przed naszym powrotem z Syberii, ojciec zgłosił się do gminy Nowa Iwiczna jako żołnierz zdemobilizowany i repatriant zza Bugu, z prośbą o przydzielenie mu polskiego gospodarstwa rolnego. Zaproponowano mu dwa do wyboru: jedno w Julianowie i drugie w sąsiedniej wsi Józefostaw dawniej Kieszek, koło lasu kabackiego. Ojciec obejrzał obydwa gospodarstwa i żadne mu nie odpowiadało. To, w Julianowie było bardzo licho zabudowane, a to na Kieszku było bardzo duże, podzielone na dwa, ze wspólnym używaniem zabudowań. Przy okazji dowiedział się, że w Julianowie jest jeszcze jedno nie zadysponowane gospodarstwo, po Edwardzie Szajerze, więc po ponownym udaniu się do gminy, prosił o to gospodarstwo. Władze gminy przyznały, że gospodarstwo po Sajerze jeszcze jest wolne, ale już wcześniej zaczął się starać o nie pan Windyga z Warszawy, któremu wstępnie obiecano na nie przydział i teraz nie wypada im się z tego wycofać. Wtedy ojciec zwrócił uwagę przedstawicielom gminy, że dekretem rządowym jest nakazane, iż w przydziałach gospodarstw rolnych pierwszeństwo mają żołnierze frontowi i repatrianci zza Bugu, którzy tam utracili swoje gospodarstwa rolne, a ojciec spełnia obydwa warunki, więc prosi o ponowne rozpatrzenie jego prośby. Kiedy i to nie zmieniło decyzji gminy, ojciec zagroził, że będzie się odwoływał do sądu. Wówczas powiedziano mu, żeby złożył odwołanie do gminy. Po kilku dniach otrzymał odpowiedź pozytywną. Mając przydzielone gospodarstwo rolne natychmiast napisał do nas na Sybir, żeby nas o tym poinformować. Jednak pan Windyga nie darował i odwołał się do sądu, w rezultacie czego, już po naszym przyjeździe, unieważniono decyzję gminy i nakazano ojcu przekazać gospodarstwo panu Windydze. Na tę decyzję sądową ojciec poszedł z zażaleniem do byłej swojej jednostki wojskowej 2 Pułku Piechoty. Dowódca przyjął go w swoim gabinecie (niestety nie pamiętam jego nazwiska, ale mógł to być ppłk Duszyński, lub któryś z jego zastępców, ewentualnie następców). Wysłuchał skargi ojca i w jego obecności zatelefonował do kilku urzędów. Rozmawiając powiedział jedno zdanie, bardzo znamienne, które ojciec powtarzał, a ja je zapamiętałem: „Nie pozwolę żeby jakaś cywilna morda poniewierała moim żołnierzem”. Kazał ojcu od ręki napisać podanie w tej sprawie i zostawić je u siebie. Po kilku tygodniach przyszła definitywna odpowiedź sądowa, że gospodarstwo

rolne po Edwardzie Szajerze przyznaje się plutonowemu Wawrzyńcowi Balikowi. Decyzja nie podlegała rewizji. W ten sposób ojciec stał się właścicielem gospodarstwa rolnego, najbardziej mu odpowiadającego. Pole było obsiane oziminą przez pana Windygę. W tej sprawie doszli do porozumienia, że pan Windyga zbierze 2/3 plonu ze swego zasiewu, a ojcu przypadnie 1/3 zbioru. W marcu 1946 r., kiedy jeszcze żaden z rolników nie wychodził z pola, ojciec przygotował rolę i zasiał jare zboża.

SZKOŁA WIECZOROWA

Przez cały rok żyłem beztrosko i dość szczęśliwie. Zajęcia rolne na gospodarstwie dawały mi wiele satysfakcji i przyjemności. Miałem wielu kolegów, którzy rozpoczynali szkoły zawodowe, a ja nic, tylko na roli. Aż pewnego razu, kiedy orałem dalej od domu, przyszła do mnie jedna z koleżanek i cały czas trajkotała, chwając się, że ojciec zapisał ją do wieczorowej szkoły zawodowej w Piasecznie. Namawiała mnie, żebym powiedział o tym swojemu ojcu to może i mnie zapisze. Pod wpływem tej rozmowy zacząłem coraz częściej myśleć, że trzeba zacząć naukę. W moim przypadku nie było to proste, bo do wieczorówki przyjmowano młodzież po ukończeniu siedmiu klas szkoły podstawowej. W dodatku nie miałem żadnego świadectwa ze szkoły na Syberii, gdzie uczęszczałem przez niepełne cztery lata.

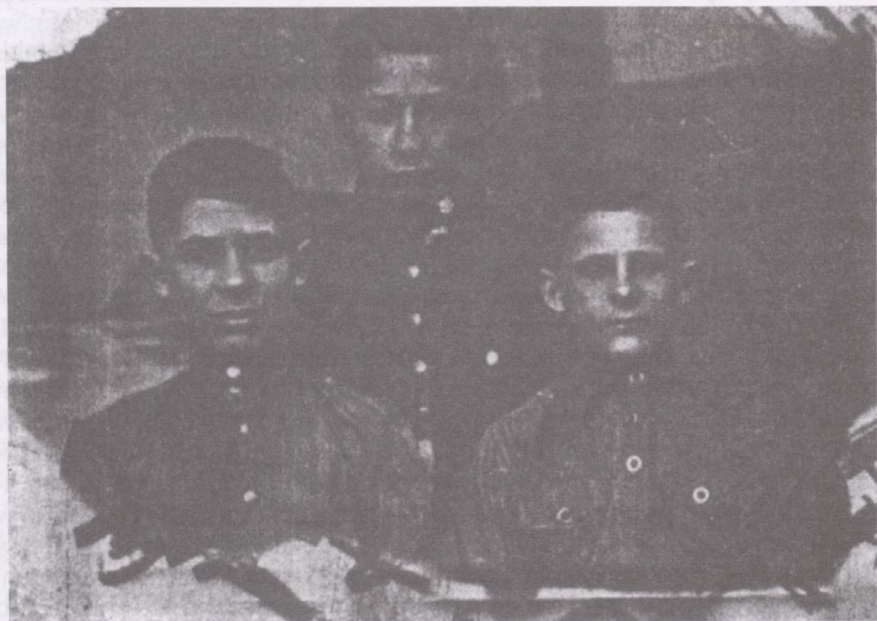
Ponadto moja przeszłość nabawiła mnie wielu kompleksów, które spowodowały w mojej psychice przekonanie o mojej niższości w stosunku do innych. Ojciec jednak poszedł do szkoły i rozmawiał w mojej sprawie z dyrektorem, którego nazwiska już dzisiaj nie pamiętam. Powiedział, że przed rokiem wróciliśmy z Syberii i trochę skłamał, mówiąc, że ukończyłem tam 5 klas szkoły podstawowej. Powiedział też, że terminowałem w charakterze ucznia ślusarskiego, co odpowiadało prawdzie. Dyrektor zaproponował, żebym jutro przyszedł do szkoły, to porozmawia ze mną i on sam oraz inni nauczyciele, to może coś zdecydują. Drugiego dnia doszorowałem moje pociemniałe od pracy w ziemi ręce, założyłem na siebie świąteczne odzienie i poszedłem do szkoły odległej ponad 5 km od miejsca zamieszkania. Trafiłem na zajęcia lekcyjne i czekałem do przerwy na korytarzu. Na przerwę do pokoju nauczycielskiego weszła cała świta nauczycieli z dyrektorem na czele. Bardzo żałuję, że nie pamiętam nazwiska dyrektora, ale oprócz niego było tam wielu znakomych pedagogów, nauczycieli z prawdziwego zdarzenia, jak panowie profesorowie: Andrzejewski, Skręt, Polkowski, Wojewódzki i inni. Dyrektor przedstawił mnie nauczycielom i powiedział, że jestem chłopakiem, w którego sprawie był tu wczoraj ojciec. Powiedział, że jestem opóźniony w nauce z powodu pobytu na Syberii, co wzbudziło spore zainteresowanie nauczycieli. Pytano mnie o nie-

które szczegóły z tym związane. Powiedziałem, że na Syberii ukończyłem czwartą klasę szkoły podstawowej w języku rosyjskim, a potem terminowałem w fabryce w charakterze ucznia ślusarskiego. Teraz chciałbym się uczyć i w przyszłości rozpocząć pracę w zawodzie mechanika. Dali mi jakiś tekst do przeczytania, z którego to zadania wypadłem, oględnie mówiąc, dość słabo. Kazano mi wyjść na korytarz i tam poczekać, bo chcą się naradzić w mojej sprawie. Wiedziałem, że nie najlepiej wypadłem i zrobiło mi się przykro. Wyszedłem na korytarz ze łzami w oczach. Po kilku minutach wezwano mnie ponownie. Profesor Andrzejewski powiedział mi, że mam słabe podstawy do tej szkoły i mogę mieć trudności z nauką. Mówił o planach szkoły, że mają tu utworzyć klasę wstępną, bo takiej młodzieży jak ja jest więcej, ale na razie za mało, żeby tę klasę uruchomić. Zaproponował mi, żebym chodził do szkoły jako wolny słuchacz i jeżeli klasy wstępnej nie będzie, to ten rok zostanie mi zaliczony jako klasa wstępna. Po chwili profesor dodał na moją pociechę, że jeżeli będę się starał i zrobię duże postępy w nauce to mam szansę normalnie zaliczyć pierwszy rok w całości. Po przerwie zabrał mnie ze sobą do klasy pierwszej, gdzie miał mieć wykład z matematyki. Profesor przedstawił mnie uczniom i przystąpił do lekcji. Siedziałem jak trusia i chociaż cały zamieniłem się w słuch, lekcja jego była dla mnie jak chińskie kazanie.

Po kilku tygodniach zacząłem pojmować wykłady i dzięki swojej ambicji i pilności zacząłem robić postępy w nauce. Pomimo, że miałem bardzo duże trudności, wynikające z braku czasu, trudnych warunków domowych i obiektywnych - nie załamane się i kontynuowałem naukę. Pracowałem od świtu ciężko w polu do godziny 14.00, po czym przychodziłem do domu, myłem się, zjadałem coś na chybcika i przed 15.00 wychodziłem z domu, żeby po godzinnym marszu zdążyć na pierwszą lekcję, która zaczynała się o godzinie 16.00. Na 22.00 wracałem zmęczony do domu. Przy lampie naftowej odrabiałem pilniejsze lekcje i po 23.00 zasypiałem. Rano o 5.00 ojciec budził mnie do roboty i tak było całymi tygodniami. Pod koniec roku dobrze opanowałem przedmioty zawodowe i inne przedmioty ogólnokształcące z wyjątkiem języka polskiego, w którym miałem duże zaległości w lekturze. Była to wina nie tylko moja, bo wynikała w znacznej mierze z urlopu chorobowego polonisty. W rezultacie jednak uzyskałem pozytywne oceny i normalnie zdałem do drugiej klasy. Wkrótce rozpocząłem pracę zawodową w "Grupie Technicznej" w Baniosze, w charakterze ucznia ślusarskiego., W 1950 roku ukończyłem trzyletnią Średnią Wieczorową Szkołę Zawodową w Piasecznie z wyróżnieniem. Otrzymałem dyplom uznania za naukę i pracę społeczną, dzięki dużemu poparciu ZMP. Oczywiście moje zasługi zarówno w jednym jak i w drugim

przypadku były lekko naciągane. Były to czasy w których szkoła musiała rozdać kilka dyplomów, szczególnie za pochodzenie.

W niniejszym numerze drukujemy ostatni odcinek obszernych fragmentów wspomnień p. Zenona Balika. Wyrażamy wdzięczność Autorowi za udostępnienie naszym czytelnikom pamiątka z pobytu na nieludzkiej ziemi, jak również wyrazy uznania za postawę Polaka - patrioty, godność i ambicję, z jaką dążył w bardzo trudnych warunkach do osiągnięcia właściwej pozycji życiowej. Po powrocie wraz z rodziną do Polski pomagał ojcu pracując wspólnie z nim na roli, zdobywając jednocześnie wykształcenie w średniej szkole zawodowej, liceum zawodowym i wreszcie w wieczorowej szkole inżynierskiej. Nasze gratulacje, panie Zenonie.



Kansk, sierpień 1945. Od lewej: Zenon Balik, Bonifacy Grochowski i Czesław Calik



Kansk, 1945 r. Moja rodzina (stoją od lewej)
- I rząd; Mama Teofila, Zenon i Teodozja;
II rząd: Roman, Michał i Kryspina Balikowie.



Łuków, 1945 r. Mój Ojciec Wawrzyniec Balik (pierwszy z lewej w I rzędzie)
z towarzyszami broni, przed demobilizacją.